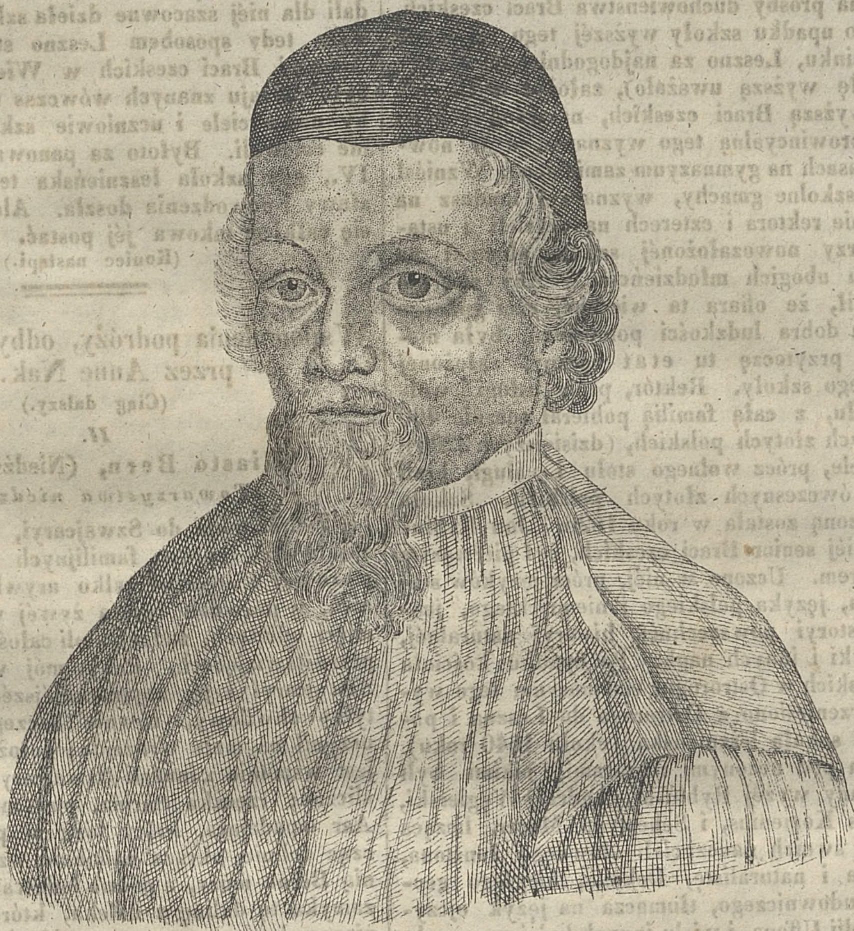
Przyjaciel Ludu.

Rok piąty. No. 3. Leszno, dnia 21. Lipca 1838.



Jan Amos Komeński (Comenius).

Gymnazyum illustre w Lesznie.

(Z dzieła: O Braciach czeskich, p. Łukaszewicza.)

Do wyznania Braci czeskich, które w drugiéj połowie 16go wieku większą część ślachty wielkopolskiéj do siebie przeciągnęło, należała także można w téj prowincyi rodzina Leszczyńskich, któréj gniazdem i własnością było od niepamiętnych czasów miasto Leszno. Leszczyńscy, chwyciwszy się nauki Braci czeskich, zaprowadzili natychmiast po obszernych dobrach swoich obrządki swego wyznania, oddali mu kościoły katolickie, w dobrach tych znajdujące się, i założyli przy nich szkółki elementarne. Taka szkółka elementarna Braci czeskich, znajdowała się także w Lesznie, aż do pierwszéj połowy 17go wieku. Założył ją w roku 1555 Rafał Leszczyński, kasztelan śremski; wznowił i uposażył lepiéj Andrzéj Leszczyński, wojewoda brzesko-kujawski, w roku 1604. Szkółka atoli ta, nie różniła się w niczém od mnóstwa innych szkółek elementarnych, wyznania tego w Wielkiéjpolsce. Do zamienienia jéj na szkołę wyższego rzędu, posłużyły następujące okoliczności: W pierwszéj połowie 17go wieku, prześladowania religijne w państwach, domowi rakuskiemu podległych, sprowadziły do Wielkiéjpolski tysiące Czechów, Morawców i Niemców, wyznania luterskiego i Braci czeskich. Leszno dało przytułek znacznéj nader liczbie tych wychodzców. W skutek takowego napływu cudzoziemców, w skutek rozmaitych swobód, które Lesznu dziedzice hojną dłonią nadawali, nareszcie w skutek zagarnienia całego niemal handlu wielkopolskiego, Leszno

stało się w krótkim przeciągu czasu miastem ludném i zamożném. Wynikła tedy potrzeba założenia w tém mieście szkoły wyższéj; zamierzali zaradzić téj potrzebie sami mieszkańcy Leszna, uprzedził atoli ich zamiar Rafał Leszczyński, wojewoda bełski, dziedzic natenczas Leszna. Uczony mąż ten, częścią z własnego natchnienia, częścią na prośby duchowieństwa Braci czeskich, (które po upadku szkoły wyższéj tego wyznania w Koźminku, Leszno za najdogodniejsze miejsce na szkołę wyższą uważało), założył w Lesznie szkołę wyższą Braci czeskich, nazwaną późniéj szkołą prowincyalną tego wyznania, a w nowszych czasach na gymnazyum zamienioną. Wzniósł z cegły szkolne gmachy, wyznaczył fundusz na utrzymanie rektora i czterech nauczycieli i ustanowił przy nowozałożonéj szkole alumnat na dwunastu ubogich młodzieńców. Aby zaś kto nie sądził, że ofiara ta wiecznéj czci godnego męża dla dobra ludzkości poniesiona, była nieznaczną, przytoczę tu etat roczny, założonéj przez niego szkoły. Rektór, prócz usługi i wolnego stołu, z całą familią pobierał rocznie 400 ówczesnych złotych polskich, (dzisiejszych 3200); nauczyciele, prócz wolnego stołu i sługi, brali po 120 ówczesnych złotych polskich. Szkoła ta otworzoną została w roku 1626. Jan Rybiński, późniéj senior Braci czeskich, był pierwszym jéj rektorem. Uczono w niéj, prócz języków starożytnych, języka polskiego i niemieckiego, jeografii, historyi powszechnéj, historyi naturalnéj, matematyki i innych nauk. Po upadku kościoła Braci czeskich w Ostrorogu, seminaryum tego wyznania przeniesiono z Ostroroga do Leszna i połączono z szkołą leszneńską (około 1640 roku). Szkoła ta pod uczonymi rektorami, jakimi byli wspomniany wyżéj Rybiński, Andrzéj Węgierski, Jan Amos Komenius, i Sebestyan Macer, licząca do grona swoich nauczycieli sławnego Jonstona, polihistora i naturalistę, Dekana, biegłego geometrę i budowniczego, tłumacza na język ojczysty Archelii Uffana, i wielu innych ludzi uczonych, zakwitła w krótkim przeciągu czasu. Cisnęła się do niéj młodzież dyssydencka, a nawet katolicka, z Wielkiéj i Małéj Polski, z Prus królewskich, Śląska, Morawii, Czech i Węgier. Na takowe ubieganie się do niéj młodzieży, zasługiwała szkoła leszneńska przez swoje wzorowe urządzenie, przez ciągłe ulepszanie metody uczenia i postępowanie krok w krok z duchem i potrzebami czasu. Gdy szkoły akademickie i jezuickie w Polsce, gdy szkoły katolickie i protestanckie w ościennych Niemczech trzymały się uporczywie w uczeniu młodzieży odwiecznych prawideł i zwyczajów mitrężących uczniom nadaremnie czas drogi, nauczyciele szkoły leszneńskiéj odważyli się utorować sobie inną, nieznaną dotąd nikomu, drogę w wielkiém swojém powołaniu. Komeniusz *) wypracował dla szkoły leszneńskiéj tak sławne dzieło swoje: „Janua linguarum reserata,“ ułatwiające uczniom nieskończenie nabycie obcych języków; Jonston zebrał dla niéj porządną historyą powszechną i wydał w Lesznie 1639 roku u Wiganda Funka, pod tytułem: „Horarum subcisivarum etc. pars I et II;“ inni nauczyciele wydali dla niéj szacowne dzieła szkolne innéj treści. Tym tedy sposobem Leszno stało się wkrótce Atenami Braci czeskich w Wielkiéjpolsce. Nie było rodzaju znanych wówczas nauk, w którymby nauczyciele i uczniowie szkoły leszneńskiéj nie celowali. Byłoto za panowania Władysława IV., gdy szkoła leszneńska tego szczytu swéj sławy i powodzenia doszła. Ale odtąd zmieniła się całkiem takowa jéj postać.

(Koniec nastąpi.)

*) Biblioteka leszczyńska przechowuje dotychczas wierny wizerunek tego dawniejszego rektora tutejszéj szkoły i znanego w całéj Europie pedagoga, rytowany w Hollandyi na miedzi, z rozporządzenia parlamentu angielskiego, z następującym napisem:

„Reverendissimus in Christo Pater Joannes Amos Comenius, Anatoliae Ecclesiae quae Unitas Fratrum vocatur per majorem Poloniam, Lithuaniam et Prussiam Episcopus Senior et Synodorum Praeses Reliquiarum ejusdem Ecclesiae Fratrum per Bohemiam, Moraviam caeterasque Sclavorum Provincias, dum inter vivos Episcopus solus superstes; aeternae Divinitatis Jesu Christi Propugnator acerrimus; Unionis inter omnes Christianos puriorem religionem profitentes Suasor et Prosecutor; Ecclesiae orbis Britannici prae caeteris amicissimus; in Scholarum palaestra clarissimus et meritissimus, omnibus ob eruditionem excellentem satis notus; Passionum Christi consors. Natus in Moravia 28 Martii 1592 Ecclesiae Julnencensis Moravorum Pastor, in Synodo Lesnensi Maj. Polon. 1648 conseeratus; Christi Exul ad Diem usque supremum, quem obiit Amstelodami Nov. 25 1670 tandem requiescens in pascuis aeternis se. vulneribus Jesu.“

Wspomnienia podróży, odbytéj roku 1837 przez Annę Nak.....

(Ciąg dalszy.)

II.

Miasto Bern, (Niedźwiedzie.)

Towarzystwa niedzielne.

Podróż moja do Szwajcaryi, w jedynym celu załatwienia spraw familijnych przedsięwzięta, może mi nastręczać tylko urywkowych wspomnień, w prawdzie barwą żywéj wyobraźni w pamięci odbitych, żadnéj atoli całości, w opisie nieprzedstawiających. Pobyt mój w Bernie, stolicy Szwajcaryi i jéj najznaczniéjszém mieście, lubo tylko chwilowy, równie szczególne, jak miłe uczynił na mnie wrażenie; położenie miasta tego jest wspólnie z innemi Szwajcaryi grodami, prześliczne; rzeczka Sarina, pod miastem do rzeki Aar wpadająca, kręty bieg w przepadzistéj tocząc dolinie, okrąża nadobnie wznoszące się nad nią Bernu mury, a pasmo lodowatych olbrzymów, zamyka tę dolinę z daleka, które nawet w dniu niepogodnym, zawsze na widnokręgu, na szarém niebie, białemi, krętemi wstęgami się odznaczają; ulice lipami i orzechowém drzewem wysadzane

na wszystkich do miasta wiodących drogach, uprzyjemniają je przybywającym do niego podróżnym. Budowy Bernu, więcéj dwa zeszłe wieki, jak średnie przypominające, lubo nie wspaniałe, są jednak obszerne i nader przez swe arkady dla mieszkańców wygodne; trzy ulice całe to miasto składają, a sklepione wzdłuż nich chodniki, o których rynek miasta Zamościa i innych naszych dawnych miast, najlepsze dać może wyobrażenie, dozwalają wyższemu towarzystwu, w tém mieście uczęszczać na wieczory i bale, nie wsiadając do karety; nikt więc nie pozwala tam sobie trzymać koni, ani mieć pojazdu; równie towarzyskie usposobienie, jak przesąd narodowy, zabraniają najbogatszym osobom, téj tak istotnéj przyjemności, w owym ściśle wolnym kraju; niema też miasta w Europie, równie cichego, jak Bern, osobliwie w wieczór i w nocy; dyliżanse peryodycznie odchodzące i przybywające, przerywają niekiedy uliczne milczenie; trąbka pocztyliona, do wytwornéj oberży pod sokołem, albo do przyjemnéj, a mniéj drogiéj, aux Gentilshommes zwanéj, cudzoziemców przywożącego, zwiastuje tam w wieczór jedynie, że i w Szwajcaryi, tak jak gdzie indziej, ludzie koni używają. Ale za to arkady, bywają od rana do późnéj nocy przepełniane ustawicznie mijającemi się pod niemi wszelkiego stanu i ubioru osobami; tam rozliczne sklepy, wszystkich części świata płodów zbiór przedstawiające, (bo w Szwajcaryi żadnych ceł nie ma) wabią tysiącem przedmiotów oczy i chęci przechodniów zaspokoić mogą; ale drogość ich, a osobliwie krajowych wyrobów, w krótce zapał do ich nabycia ostudzi i nie jeden już wydobyty woreczek, na powrót do kieszeni wsunie. Z tych ostatnich, to jest z krajowych płodów, odznaczają się równie delikatne, jak gustowne hafty, z kantonu Appenzell dostawiane, i śliczne drobne drewniane wyroby, na górach przez pasterzy, całe tam lato z krowami samotnie przebywających, nożami wyrzynane: te ostatnie tak są dokładnie wyrabiane i tyle mają wytworności i smaku, że Anglicy i inni cudzoziemcy, chciwie ich poszukują i do wysokiéj podnoszą ceny; są to figurki, koszyki, talerze i inne drobniejsze jeszcze rzeczy, z białego świerkowego drzewa, ładnie malowane i krajowe przedmioty wyobrażające; a ze w górach szwajcarskich, wiejskie domki malowniczym sposobem budowania odznaczają się, można w tychże sklepach znaleść także wzory domków drewnianych różnéj wielkości, które do innych krajów przewiezione, miłe wspomnienie podróży, w ozdobie ogrodu naśladowane, przedstawić mogą. Bern i Genewa, obfitują w składy tych ładnych drewnianych nieużyteczności i największych lubowników w tym względzie zaspokoić zdołają.

Gmach katedralnego kościoła w Bernie, przedstawia żywy obraz zmiany czasów i wieku. Fantazyjnéj gotyckiéj architektury porządek, wzniósł jego okazałe krużganki i wieże; okrył mury nieprzeliczonych drobnych ozdób szeregiem, wyrył w kamieniu koronki wzory, i szlachetne świętych postacie, obok skrzydlatych Cherubów przy wejściach téj świątyni nagromadził;.... wyszłam z katedry, więcej jéj powierzchownością, jak teraźniejszém przeznaczeniem zajęta i daleko mi się lepiéj podobał sposób, którym z jéj dawnego cmentarza korzystano; jest on na publiczną przechadzkę przerobiony, wielkiemi drzewami wysadzony i niskim murem opasany, który ślicznego widoku na miasto, dwie łączące się rzeki, żyzne pola i śnieżne góry, przechadzającym się po szerokich ulicach, tego pięknego ogrodu bynajmniej nie kryje.

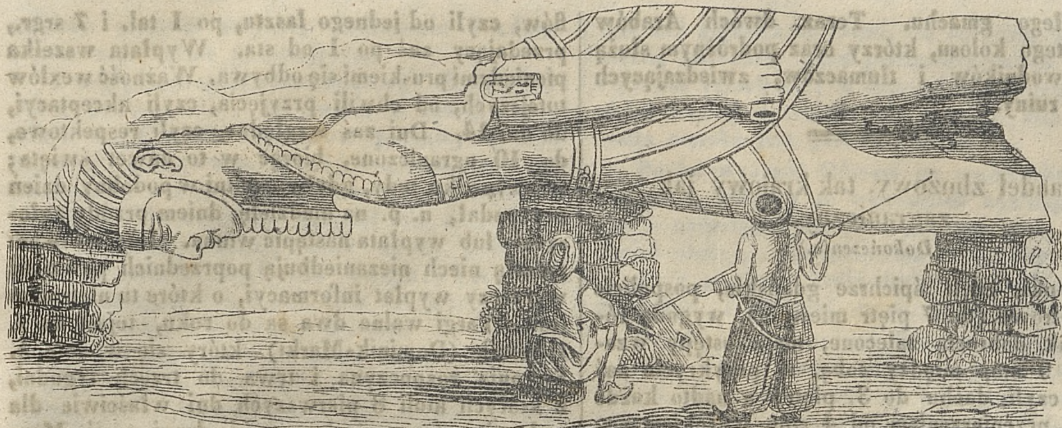
Szczęśliwym trafem znalazłam w Bernie miłe towarzystwo; pani de M., z domu hrabianka G., moja współrodaczka, tam od roku zamężna, uprzejmością i gościnnem mną się zajęciem, przejazd mój przez to miasto wiele mi uprzyjemnić zdołała: państwo de M. obeznali mnie oboje z czarującémi okolicami swéj siedziby; poznałam w ich towarzystwie całą piękność doliny, w pośród któréj Niedźwiedzigród się wznosi, a wspomnienie tak przepolszczonego nazwiska, niedozwala mi pominąć przedmiotu, który do tego jest mi powodem; słowo Bär znaczy po niemiecku niedźwiedź, nie wiem dlaczego głoska n przydaną mu została; ale najpewniejszą jest, że Bern od niedźwiedzia nazwisko swe wywodzi, to zwierzę w herbie swego kantonu nosi, a dla uwiecznienia tak szczególnego pochodzenia, pewną liczbę niedźwiedzi w otaczających miasto fossach, utrzymuje; nikt z bogatszych obywateli, nie rozstaje się z tym światem, bez zapisania jakiego kapitału tym osobliwym reprezentantom szwajcarskiéj stolicy; umieszczone wygodnie w podziemnych murowanych izbach, zkąd prosto do foss wychodzą, bywają nieustannie odwiedzane z góry, przez ciekawą publiczność, która niemogąc tak, jak berneńscy bogacze, składać u ich łap pieniężnych ofiar, gruszkami i chlebem nieustannie je karmi. Lubo ten żywy pomnik szwajcarskiéj narodowości, więcéj mnie rozśmieszył, jak rozczulił; zamiłowanie atoli wszystkiego tego, co przeszłość w pamięci odbija, ma zawsze coś szanownego i czasem nawet niedźwiedzia zajmującym czyni: nieszczędziłam więc gruszek i chleba, dla zadowolnienia owych berneńskich bożyszczów, a mówiąc o nich z moją młodą przewodniczką w tém mieście, dowiedziałam się, że te zwierzęta nie uszły, wraz z innemi pamiątkami podbitych krajów, Napoleona uwagi, i że równie, jak zachwycające sztuk pięknych włoskich płody, te niezgrabne stworzenia, podróż do Paryża odprawiły, w owym czasie, kiedy świat cały jego wielkiemu geniuszowi, czyli szczęśliwéj gwiaździe, hołdował. Znikł meteor okazały, a obok Apollina z Belwederu i medycejskiéj Wenery, udała się napowrót do ojczystego miasta, ogromna klatka, brzydkie, ale uwielbiane zwierzęta, do dawno przez nie zamieszkałych



Widok miasta Bern.

foss odwożąca, i z zapałem przez tęskniących do nich Berneńczyków przyjętą została: odtąd niedźwiedzie zajmują spokojnie odwieczne swoje siedlisko, i błogosławią europejskie przymierze, które, między innemi, ważne dzieło ich uwolnienia podziwiającemu światu przedstawiło.

Obok dokładnéj wiadomości o owych narodowych niedźwiedziach, zostało mi w pamięci więcéj zapewne wspomnienia godne niedzielnego towarzystwa opisanie, które lubo w całéj podobno Szwajcaryi istnieje, najściśléj się jednak w tém mieście i w Genewie utrzymuje. Szwajcarskie społeczeństwo, jest zupełnie dla cudzoziemców zamknięte i jedną z trudności do przypuszczenia do niego tychże, są tak zwane niedzielne schadzki, które mi moja przyjemna berneńska przewodniczka, jako do nich należąca, najtrafniej opisać zdołała. To zbieranie się młodzieży w dni niedzielne, od niepamiętnych istnieje czasów, nie mogła mi więc o jego początkach żadnéj udzielić wiadomości. Skoro chłopczyk, albo dziewczynka, dojdą lat od 8. do 10., należą do zgromadzeń, które się w niedzielę kolejno w domach rodziców rówienników swoich w wieku odbywają; są tam odprowadzane i zostawiane na cały wieczór, przez matki, lub ochmistrzynie, które całe to hałaśne grono pod dozorem pani domu zostawują i o zwykłéj, do spoczynku przeznaczonéj godzinie, po nie przychodzą; te dzieci bawią się lalkami i grami różnémi, dostają podwieczorek do ich wieku zastósowany i rozchodzą się ze słodkiém przekonaniem, że w następną niedzielę, taż sama zabawa w innym domu się dla nich powtórzy; ale jutrzenka ich życia coraz żywiej blaskiem lat młodocianych jaśnieje, a wnet z owych małych krzyczących i biegających niedzielnych towarzyszów, wykształca się czarnooki młodzieniec i pełna wdzięku dziewica. Niedziela im się równie jak i dzieciom uśmiecha, a panienka w 15. roku życia, już sama berneńskie arkady przebiega, dążąc wieczorem do właściwego towarzystwa, wtedy, kiedy jéj dziadunio, albo babunia, ojciec i matka, nawzajem się do tych domów udają, gdzie prawie od kolebki w każdą niedzielę bawić się przywykli i gdzie ich nietylko chęć spędzenia przyjemnie kilku godzin, ale zapewne wieloliczne związki i wspomnienia wiodą. Tak więc Szwajcar i Szwajcarka, poświęciwszy się raz w tydzień zabawie, która ściśle ich wiekowi przystoi, mało dbają o szukanie innych rozrywek, a mniéj jeszcze o zabieranie nowych znajomości; jeżeli się kto ożeni z osobą, należącą do innego towarzystwa, bywa przybrany do tego, które jego żona odwiedza, a to przyjmowanie po kądzieli, jest także jedną z osobliwości owego postanowienia. Skoro więc zabawy dziecinne dorastającą młodzież zajmować przestają, zastępuje taniec ich miejsce, późniéj zaś tam, jak wszędzie, karty, a nakoniec rozmowy, a może i drzymanie: bo wiek najpóźniéjszy z uczęszczania do niedzielnego towarzystwa wymówić się nie zdoła. I te same salony, co przed pięciudziesiąt laty widziały żwawo igrających starca i sędziwą kobietę,



Kolos Sezostrysa.

teraz w ogromnych krzesłach, z obydwóch stron komina siedzących, zgromadzają do ostatka szczątki niegdyś licznego ich towarzystwa. Matka pana de M., przeszło siedmdziesiąt-letnia osoba, uczęszcza dotąd co niedziela do spółeczeństwa, które już tylko cztery w równym z nią wieku damy liczy, wtedy, kiedy jéj dwudziesto-letnia synowa, spieszy zdobić znanym ładnéj Polki wdziękiem, pyszniące się z przybranéj cudzoziemki młodych Szwajcarek grono. Arkady przedstawiają, co niedziela o godzinie 10. w wieczór, chwilową illuminacyą, bo tysiące zapalonych latarni, krzyżują się długi czas pod niemi w ręku skrzętnych służebnic, po swoje państwo idących; nasze powozy i konie zastępujących. Ci, co do jednéj z niemi partyi wista należeli, odprowadzają damy do ich mieszkania, a tak mąż z żoną nigdy razem do domu nie wraca, bo tę damę odprowadzić winien, któréj był partnerem; jego zaś żona, temu rękę swą podaje, który z nią dzielił wieczorną zabawę, i przy świetle poufałéj latarki, w ciemne uliczne ganki się z nim zapuszcza. Zapewniano mnie, że dobre obyczaje, bynajmniéj na tym szczególnym układzie nie cierpią; być to może; pani de M. jako cudzoziemka, wyłączyła się jednak od wypełnienia tego ostatniego niedzielnego obowiązku, oświadczając raz na zawsze, że dla niéj najdogodniéj będzie, z własnym mężem do siebie wracać. Niewiem, czy ten zalotny sposób szwajcarskiéj grzeczności, w późniejszym zachowuje się wieku; ale kiedy weseli tancerze, partnery do wista, równie jak i towarzysze życia kolejno znikają, cóż pozostaje niedzielnéj posiwiałéj towarzyszce, jak samotny powrót do domu; szczęśliwa, jeżeli jéj latarka dobréj sławie i nieskażonemu sumieniu przyświeca, a wspomnienie użytecznie strawionego życia, cichy spoczynek zapewnić może.

Niedzielne towarzystwa, nie przeszkadzają jednak bynajmniéj w innych dniach tygodnia zabawom i schadzkom, którym pomięszane życia wieki, równie jak i w innych europejskich miastach, ruch i przyjemność nadają, zawsze jednak z samych tylko krajowców składające się; cudzoziemcom zwiedzanie kraju i podziwianie jego piękności, jako dostateczną dla nich zabawę zostawując: uczęszczanie tychże do Szwajcaryi z latem się zaczyna, a lato tak w Bernie, jak wszędzie, zawsze wyłączniéj pięknościom przyrodzenia, jak uciechom towarzyskim poświęconem bywa.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Kolos Sezostrysa.

(Odkryty przez kapitana Caviglia, pomiędzy wśiami Bedrechein a Mil-Rachineh, na południe starożytnego Memfis.)

O milę od piramid egipskich, leży miasto Gizeh: z tamtéj strony idąc drogą wzdłuż rzeki Nilu i przebywszy kilka nędznych wiosczyn, palmami uwieńczonych, staniem w Bedrechein. Za wioską płaszczyzna zaległa ruinami: co chwila stopa wędrowca trąca o gruz starożytny, sterczący jeszcze wpośród zasypującego wszystko morza piasków, które już zalało większą część najważniejszych pomników, i zapewne wkrótce resztę pochłonie. Na tym to cmentarzu dawnéj Egipcyan wielkości, kapitan Caviglia, któremu winniśmy odgrzebanie wielu pięknych egipskich pomników, odkopał wspaniały kolos. Kolos ten olbrzymi, jest jednym z najpiękniejszych zabytków sztuki egipskiéj, jest wykuty z marmuru, który aczkolwiek żylasty, dochował jeszcze politurę właściwą rzeźbom téj epoki.

Część niższa nóg utracona: wielkość jego wprawia w podziwienie, i ma przeszło 11 metrów francuzkich: rzeźba bardzo proporcyonalna, zwłaszcza twarz dobrze zachowana, przedziwnéj roboty: przedstawia króla Sezostrysa, który panował podług tablicy chronologicznéj z Abydos, 1565 lat przed erą chrześciańską: na piersiach znajduje się napis: Sezostrys. Kapitan Caviglia zachował tę ostrożność, że kazał ten kolos twarzą do ziemi obrócić i podmurować w ten sposób, jak to obrazek przedstawia, ponieważ Arabowie zwykli psuć wszystkie postacie ludzkie. Kolos ten zapewne stał przy wnijściu jakiego

wspaniałego gmachu. Teraz dwóch Arabów strzeże tego kolosu, którzy oraz podróżnym służą za przewodników i tłumaczów, zwiedzających tutejsze ruiny.

Handel zbożowy. tak krajowy jak zagraniczny.

(Dokończenie.)

Wsypki, czyli śpichrze gdańskie, pospolicie kilkopiętrowe (do 7 piętr miewają), wygodą równie jak dobrocią zalecone, mają ustępy wzajem po 9 stóp między sobą, w przykryciu zaś swém, czyli dachu do 3. piętr; a nadto każde wzdłuż przepierzeniem od 4 stóp wysokiem poprzegradzane. W każdéj podobnéj przestrzeni po 150—200 kwarterów ziarna się mieści. Prócz tego pełno jest okienek, które za każdą pogodą dla wietrzenia otwierają; przerabianie wszakże zboża całego, mimo to, trzy razy w tygodniu odbywa się; przewiew ten (wianie) zbóż sposobem zwyczajnym załatwiają, tojest za pomocą szufli nabieraniem i miotaniem w górę.

Wsypki gdańskie dzisiejsze mogą wygodnie do 500,000 kwarterów pszenicy w sobie mieścić. Ładunek zboża na okręty z taką zaś szybkością idzie, że wyrobnicy w 3., a najwięcéj 4. godzinach mogą aż do 500 kwarterów naładować. Największe składy tak na towary jak i zboże, na kępie motławskiéj się znajdują, trzydziestu ogromnemi brytanami strzeżone. Nikomu na rzeczoną wyspę ani z lulką, ani z żadnem światłem chodzić, ani zamieszkiwać tam dozwolone jest. Prócz tego, są czaty przez stróżów odbywane, a nadewszystko w porze zimowéj, które, uzbrojone biczami, na wszystkich przesmykach pilnując, psom z kępy po lodach zbiegać niedopuszczają. Temu to rozporządzeniu przypisać należy, iż pamiętnika niema, by kradzież, lub pożar, miał kiedy tam miejsce. Przepisom tym ostrożności, równie statki, jak i okręty podlegać muszą.

Co do opłat urzędowych i spławnego, taxy od ziarna są następujące, od każdego łasztu biorąc:

Od pszenicy mniéj więcéj 2 tal. i 22½ srgr.
— żyta, jęczmienia i grochu po 2 tal. i 20 srgr.
— owsa . . . . 2 tal. 12 srgr.
— mąki zaś i sucharów, po 5 od sta.

Spławne płacą zresztą od łasztów; bierze się zaś na jeden okręt 200 łasztów, czyli 300 beczek okrętowych, od których 175 talarów z okładem wypada. Ma Gdańsk dzisiejszy 75 własnych okrętów, 16,000 łasztów rzeczonych obejmujących, (czyli na 24,000 beczek ładownych) a 950 ludźmi obsługiwanych, do służby wyłącznie handlu zagranicznego używanych. Co do banku gdańskiego, ten jest berlińskiego odnogą. Ponieważ zlecone, czyli kommissowe, do opłat powyższych nienależy, z osobna też podejmować się musi; zwykle kupujący faktorowi handlowemu płaci od 60 szeflów, czyli od jednego łasztu, po 1 tal. i 7 srgr., przedający zaś po 1 od sta. Wypłata wszelka pieniędzmi pruskiemi się odbywa. Ważność wexlów tutejszych, od chwili przyjęcia, czyli akceptacyi, do dni 14. Dni zaś względne, czyli respektowe, do 10 ograniczone, biorąc w to nawet święta; w przypadku tedy, gdyby ostatni w podobny dzień przypadał, n. p. na niedzielę, dniem przódy zgłoszenie lub wypłata nastąpić winna. Interessowani zresztą niech niezaniedbują poprzednich powziąść w rzeczy wypłat informacyi, o które tu nietrudno jest. Targi walne dwa są do roku, tojest na ś. Dominik (Dominik-Markt), który się w dniu 5. Sierpnia rozpoczyna i trwa do trzech tygodni, z których atoli 8 pierwszych dni właściwie dla cudzoziemców poświęcone; i drugi na ś. Marcin, (Martini-Markt), lecz ten mało znaczącym jest. Pamiętać nakoniec i na to mamy, że wielki łaszt, inaczéj słodowym (Malzlast) zwany, ma 90 szeflów; piekarski zaś, czyli workowy, 80, a zbożowy (Getreidelast) 60 szeflów liczy. Teraźniéjszy szefel berliński dzielą na 4 ćwiercie (Viertel), a każdą ćwierć na 4 mece; dawny szefel gdański obejmował 25,974 cali sześciennych francuzkich; dzisiejszy zaś berliński równa się 2,770,736 calom takimże. Zboże na wsypkach zakupują dotąd na łaszty, lecz okrętowe, które równemi są 60 dawnym szeflom gdańskim; rachunek odbywa się na szefle berlińskie, których 56½ na łaszt jeden okrętowy wypada, o którym to warunku zwykle z góry wymowa ma miejsce.

Anglia dzisiejsza, mimo niezaprzeczoną wyższość rzeczy kupieckiéj, wyznać należy szczerze, najnierozsądniéj w handlu zbożowym postępuje, zakazy albowiem i ścieśnienia co do wprowadzania ziarn do kraju, z wielkim uszczerbkiem mieszkańców Wielkiéj Brytanii mają miejsce; niedorzeczność rzeczona, w obecnéj nawet chwili, nie małéj klęski krajowéj stała się przyczyną. Potrzebuje zaś Anglia rocznie zboża do 44 milionów kwarterów i to tylko na własne spożycie, nie biorąc nawet w to siewu, z którym summa 52 milionów kwarterów sięga. W roku 1831 wprowadzono do Anglii zboża obcego do 3. milionów, 431,809 kwarterów; gdy zaś ilość ta zaledwo czternastą jest cząstką ogólnéj summy rokrocznie na potrzeby kraju żądanéj, zdawaćby się tedy mogło, że tak mała część niemoże wywierać wiele wpływu na ceny miejscowe; atoli rzecz się ma wcale inaczéj, a to dla tego, że większéj połowy zbiorów krajowych, bynajmniéj na targach nie bywa, na potrzeby albowiem domowe, gospodarskie, chów bydła i trzody, producenci zbiory swoje obracają. Zaczém idzie, że wspomniona ilość trzech milionów kilka kroć stotysięcy kwarterów, nie czternastą, ale ściśle biorąc, siódmą tylko jest częścią ziarn na targi w przecięciu dowożoną, a tym samym musi znaczny mieć wpływ na ceny targowe, łatwość pokupu, sam nawet ucisk z niedostatku chleba, zwłaszcza w latach nieurodzajów krajowych i nigdy też

zabiedz niemoże zwyżce, podrożeniu i zdzierstwom ztąd łatwo powstającym.

Przeglądając spisy sprowadzonego zboża z 1831 roku, pokazuje się, iż Anglia z saméj Rossyi miała do 464,000 kwarterów pszenicy i mąki pszennéj; prócz owsa, żyta i jęczmienia, co wszystko razem z powyższą ilością wzięte, wyniosło aż 937,000 kwarterów. Handel ten, za ulepszeniem wyprawy ziarna, może nawet postąpić; pszenica twarda, czyli tak zwana kubanka, najpokupniejszą dotąd jest, lecz na użycie z starém ziarnem, odleżałém, mieszać się zwykła. Owies rossyjski, jako w kłóci zasuszany, bywa smigły, cienki, lecz zato twardy, ciężki i na karmę wielce poszukiwany. *) Dania z przystani Kiel wyprowadza również pszenicę, lecz i niewiele i mało popłacającą, z powodu niższéj wartości od pszenicy polskiéj. Niemcy najwięcéj wysełają ziarna na Hamburg, lecz jakkolwiek Sławian potomki, w górnéj Elbie zamieszkali najlepszą szczycą się między nimi pszenicą, pośledniejszą jednak i ta od naszéj jest; z tego téż powodu ceny zbóż w Hamburgu niższemi od gdańskich bywają. Więcéj popłaca Belgów pszenica, już to dla dobroci, już czystéj wyprawy; jednakże obok polskiéj nigdy utrzymać się niemoże. Francya miewa wprawdzie rocznie do 175,211,000 kwarterów różnego zboża; ilość ta, jakkolwiek zdawałaby się znaczna, potrzebie krajowéj podołać niemoże, ztąd téż i dla zagranicznego ziarna, za pewną opłatą, przystania swe otwierać zwykła. Hiszpania od r. 1820 używa wprawdzie swobody wolnego handlu zbożowego, wywóz atoli zdarzanego nadmiaru, dla złéj administracyi kraju i niegodziwych dróg, dotąd postąpić niemoże; mimo, że dawna Kastylia, Leon, Estremadura i poniekąd Andaluzya, krajem zbożodajnym staćby się mogły. Ameryka niewiele pszenicy wysełą; stany zjednoczone, najwięcéj mąki dotąd pszennéj wyprawiają i to szczególniéj do Wschodnich Indyi, Kuby, Mexyku i Brazylii.

*) Z Odessy w r. 1830, i to w porze saméj letniéj, wyszło 149,000 kwarterów składem pszenicy polskiéj tak miękkiéj jak twardéj. Ostatnia, szczególniéj we Włoszech, na wyrób makaronów poszukiwana i obracana bywa.

O Świętym Krysztofie.

(Z ust gminu.)

Będzie temu tysiąc pięćset lat prawie, jak żył na świecie pewien wielolud, nazwiskiem Oferusz. Był to człowiek tak ogromnego wzrostu, że w wielkim palcu swojéj rękawicy wyprawił siostrze wesele; a kiedy mu matka umarła, on chcąc jéj grób usypać, nabrał w bót swój ziemi i wytrząsnął ją na ciało matczyne i wzniosła się góra aż pod obłoki. Tam zaś, zkąd owéj ziemi nabrał, powstała przepaść, a była ta przepaść tyle mil głęboka w ziemi, ile mil owa góra nad ziemią stérczała. Nad przepaścią usiadł Oferusz i płakał rzewliwie; a wszystkie łzy jego w otchłań kapały i zrobiło się morze. Dla tego to woda morska jest gorzka i słona.

Potém wyszedł Oferusz na wędrówkę i szukał pana, któryby ze wszystkich był najmocniejszy i najpotężniejszy; u takiego pana jedynie chciał służyć. Radzono mu tedy, aby się udał na dwór pewnego króla, który nie znał wyższego od siebie, i nie znał, co to strach w życiu.

Przybywszy do niego Oferusz, popisywał się z swoją siłą i został mile przyjęty; nie odstępował odtąd ani na chwilę boku mocarza, i był jego najulubieńszym powiernikiem. Podobało się to bez wątpienia Oferuszowi; postanowił więc całe życie na dworze pozostać. Ale zdarzyło się pewnego dnia, że jeden z sług królewskich wymówił w gniewie imię djabła. Słysząc to król bogobojny, przeżegnał się krzyżem świętym.

„Dla czego to zrobiłeś?“ zapytał się Oferusz, który jeszcze był Poganinem i nieznał zwyczajów chrześciańskich.

„„Zrobiłem to dla tego,““ odpowiedział król, „„że się boję djabła.““

„Kiedy się ty djabła boisz, więc jesteś słabszy od niego; pójdę ja zatém służyć u silniejszego pana,“ zawołał Oferusz, i zaraz dwór królewski opuścił i powędrował na puszczą, w której dnia pewnego napotkał rotę czarnych rycerzy, z rogami na głowie, z pazurami u rąk, a z widłami w pazurach. W pośrodku siedział najczarniejszy i najokropniejszy, na tronie z głów trupich i z kości ludzkich, i wrzasnął rykliwym głosem: „Oferusie! czego szukasz?“

„„Szukam djabła,““ odpowiedział nieulękniony Oferusz, „„ażeby u niego służyć.““

„Ja jestem djabłem,“ rzekł wódz czartowski i podał rękę Oferuszowi, który odtąd boku jego nigdy nie odstępował; a był mu jak prawa ręka przydatny.

Pewnego dnia, wyruszyła cała owa rota po zdobycz do pobliskiego miasta i przybyła na drogi krzyżowe, kędy stała boża męka. Postrzegłszy ją dowódzca, zatrąbił co tchu na odwrót.

„„Dla czego to zrobiłeś?““ zapytał się Oferusz. „Dla tego mój przyjacielu, że się boję Chrystusa!“ odpowiedział djabeł.

„„Ty się boisz Chrystusa,““ pomyślał sobie Oferusz, „„więc jesteś słabszy od niego; pójdę więc służyć Chrystusowi.““

I znowu djabła opuścił; a wędrując po puszczy, napotkał ubogiego pustelnika i zapytał go: „„gdzie jest Chrystus?““

„Wszędzie!“ odpowiedział pustelnik; ale Poganin nie rozumiał i pytał powtórnie: „„jak ja mam służyć Chrystusowi?““

„Módl się a pracuj!“ rzekł zapytany. Modlić się Oferusz nie umiał, lecz umiał pracować; poszedł tedy za pustelnikiem nad bystry

strumień, płynący z góry, i dowiedział się, że każdy pielgrzym, chcący się przeprawić na drugą stronę, tonie na środku. „Tobie,“ mówił pustelnik, „dał Pan Bóg silne zdrowie i ciało olbrzymie; przenoś więc podróżnych na twoich barkach. Jeżeli to zrobisz dla miłości Chrystusa, to cię przyjmie za swego sługę!“

„„Zrobię to dla miłości Chrystusa,““ zawołał Oferusz i przenosił dniem i nocą wszelkich pielgrzymów, wspierając się na ogromnéj sośnie, którą wyrwał z korzeniem.

Pewnéj nocy zasnął głęboko, znużony pracą dzienną; wtém słyszy głos dziecięcia, wołający go trzy razy po imieniu. Wstał on bez zwłoki, wsadził dziecię na barki i wkroczył we wodę, która dawniéj zaledwie kolan mu sięgała. Ale dzisiaj, gdy stanął na środku, szum powstał i wicher, woda się wzburzyła, bałwany biły z wściekłością o brzegi, a Oferusz zgiął się pod dziecięciem jak pałąg, i pierwszy raz w życiu uczuł strach i drżenie. Podniósł więc głowę i rzekł: „„Dziecię, dziecię! dla czegoś ty tak ciężkie! Mnie się zdaje, że świat cały dźwigam na moich plecach!““

„Nietylko świat dźwigasz na twoich plecach,“ odpowiedziało dziecię, „ale i tego, który świat stworzył. Ja jestem Chrystus, któremu ty służysz; ja ciebie chrzcę w imię Ojca, w imię moje i w imię Ducha Śgo. Odtąd nazywać się będziesz Krysztof, to jest piastun Chrystusa.“

Odtąd więc nazywał się ów wielolud Krysztofem i chodził w dłuż i w szersz po świecie, aby nauczać słowa Pana swojego i został za te nauki od Pogan ukamienowany.

Mąż małéj wiary.

(Legenda.)

(*Ew. Mateusza. XIV.* 22—32.)

Za dni szczęśliwych, raz mistrza uczniowie
Wichrem miotani po jeziornéj wodzie,
Całą noc nagląc swe przewoźne łodzie,
Byli dopiero ledwo na połowie;
Bo choć do żwiru dotarły już wiosła,
Fala ich znowu na głębie zaniosła.

Smutni żeglarze, ze środka topieli,
W świetle poranku, gdy jezioro cichło,
Brzegi dalekie ujrzeli nierychło
I mistrza swego na falach ujrzeli:
Jak on spokojny, zdaleka od łodzi,
W świetnych dumaniach po wierzchu wód chodzi.

Lękliwa rzesza, zwisłe od roboty
Ręce załamie i ratunku woła;
Jeden mąż tylko, pogodnego czoła,
Powitał mistrza i pełen ochoty
W głębokiéj wierze a cichéj pokorze
Wstąpił na fale; — więc iść po nich może!

Przecież, gdy wicher bałwany rozrucha,
On wzywa mistrza i struchlały tonie,
A mistrz na falach podając mu dłonie,
„Czemuś,“ rzekł „czemuś zwątpił twego ducha?“
I weszli w łodzie, ścichły wód odmęty,
Wiosła trąciły o brzeg ziemi świętéj.

E. B.

Pierwsza miłość.

I.

Miłości
Snie słodki,
Tyś słońce
Przed burzą!
Radości
Czas krótki
Wnet smutki
Zachmurzą;
Gdy grzmoty
I łuny
Błyskawic
Przeminą,
Gdy usną
Pioruny,
Potoki
Chmur spłyną,
Choć słońce
Promieniem
Znów błyśnie
W przezroczu,
Łzy tylko
Wspomnieniem
Wyciśnie
Ci z oczu.

II.

Już dawno!
Jak dawno?
Wiek temu,
Dzień temu,
Nie pomnę;
Tak zawsze
Te chwile
Łask morze
Przytomne
Pamięci,
Gdy skromne
Me chęci
W jéj oku
Wyroku
Zbawienia
Szukały,
W spojrzeniu,
W ściśnieniu,
Raj życia
Widziały!

III.

Jak w pierwszy
Dzień wiosny
Śród krzaków
I drzew,
Najszczerszy,
Radośny,
I ptaków
Jest śpiew;
Tak pierwsze
Co w duszy
Zapłonie
Kochanie,
Najszczersze!
Jedyne!
Jedynie
Zostanie.

Sa.

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (Red. *Ciechański.*)